

II | 333 L

Puszcza Rudnicka. Olbrzymi leśny masyw przedzielony jedną szosą i kilku starymi traktami. Nasz partyzancki dom dziedziczony przez czwarte pokolenie polskich powstańców. Od strony Sorok Tatarzy wchodziło się do niej po chlupiących w błocie pniach, a po kilku minutach marszu klękało pod krzyżem, na którym Chrystusowi w cierniowej koronie opadło jedno ramię.

W okresie kiedy byłam łączniczką, pod tym krzyżem składałam przenoszone z Wilna meldunki. Teraz wchodziłam w zieloną głębię nasłuchując kroków puszczy po zdradzieckiej miękkości mchu, po zbutwiałych, wchłanianych przez ziemię drzewach, po gałęziach sosen, świerków, buków, olszyn i brzoź. Czasem ptak krzyknął przeraźliwie, żmija zwinęła się pod nogami albo dziwny cień przeniknął między zaroślami. Puszcza.. Przytulna zieleń i śmierć skradająca się w bulgocących rojstach.

Najgorzej było w nocy z komarami. Owijaliśmy twarze zielonymi siatkami, a komary jak samoloty "stukas" pikowały nad głowami.

Naszerując w świętojańską noc 1944 roku nie wiedzieliśmy, że tej samej nocy w dalekiej Rosji po rozkwieconych łąkach ruszyła Białoruska Operacja.

Dla oddziałów AK był to znak do przygotowania operacji "Ostra Brama", której założeniem było wykorzystanie odwrotu wojsk niemieckich dla spowodowania paniki i osłabienia ich garnizonu w Wilnie a następnie oswobodzenie miasta z rąk hitlerowskiego okupanta przed nadejściem Armii Radzieckiej.

Zbliżało się lato a z nim nadzieja, że jest to ostatni okres walki o wolność naszej ziemi. Rozwinięty, dobrze zorganizowany partyzancki ruch musiał przyspieszyć militarne zażamanie się Niemców.

Byliśmy pewni, że niedługo powrócimy do rodzinnych domów i jak ludzie będziemy spali w prawdziwych łózkach, pili gorącą herbatę. Było nas coraz więcej, każdego dnia przybywał ktoś nowy. Rozmnażały się "Orły", "Wilki", "Sępy" i jak to w puszczy bywa, miejsca wystarczyło dla wszystkich. Wspierani serdecznością wiejskich ludzi i potężnym konspiracyjnym ruchem, w potyczkach śmiało atakowaliśmy niemieckie kolumny transportowe zwłaszcza kolejowe, posterunki policji, patrole, likwidowaliśmy terenowe organy władzy okupanta. Trzeba było zdobyć broń, pożywienie i odzież.

Pierwszego lipca wojska radzieckie przekroczyły granicę polsko - radziecką z 1939 roku i znalazły się na Wileńszczyźnie. Litwini w panice zaczęli opuszczać Wilno. Na szosie Oszmiańskiej z Mińska do Wilna trwał nerwowy odwrót Niemców. Szli nieprzerwaną, bezładną kolumną pomieszanych oddziałów pieszych i zmotoryzowanych, atakowani przez partyzantów wpadali w chaos lęku i dezorganizacji.

Komendant Okręgu Wileńskiego AK pułkownik Aleksander Krzyżanowski pseudonim "Wilk" wierzył w możliwość wspólnego zorganizowanego działania przeciw Niemcom. Wydawało mu się, że najlepszym sposobem zjednania Armii Radzieckiej będzie zademonstrowanie liczebności i siły oddziałów Armii Krajowej i w ten sposób zyskać uznanie AK przez Sowietów.

3 lipca nasz oddział pod dowództwem komendanta Wilhelma zaatakował posterunki żandarmerii niemiecko - litewskiej pod Poluknią w celu odbicia polskich zakładników. Razem z innymi biegłam pod wzgórze porośnięte chudym żytem. Terkotały erkaemy, świstały kule a od strony szosy zbliżały się niemieckie czołgi. Na tle nieba widać było kościelną wieżę, z której strzelano do mnie. Chciałam jak najszybciej dobiec do tej wieży, ale potężny kuksaniec sprawił, że jak długa runęłam na ziemię. Nad sobą usłyszałam głos "Groma", który biegł niedaleko mnie strzelając z erkaemu :

- Sioczycko nie umiesz biegać pod kulami. Gdzie się pchasz dzieucho? Jak nad głową usłyszysz szszsz wrywaj do przodu, ale tylko trzy kroki i padnij - pouczał mnie przekrzykując strzelaninę.

W czasie tej bitwy pod Połuknią został ciężko ranny partyzant "Śniady", Gieniek Markowski z Czarnego Boru. Z jego buta wylałam chyba z pół litra krwi. W czasie opatrywania rany, Niemcy wzięli nas pod ostrzał, mimo że miałam opaskę z czerwonym krzyżem. Kule padały gęsto, a właściwie z cichym szelestem układały się tuż obok nas w równy rząd, jedna obok drugiej, syczące gorącem. Skosiły kłosa żyta, bławatki. Nas nie tknęły.

Po strzelaninie Niemcy swoim zwyczajem szli dobijać rannych. Spieraliśmy się ze "Śniadym" dla kogo ma być ostatnia kula z jego nagana, dla mnie czy dla niego. Wygrałam ja. "Śniady" zmęczony opatrunkiem i upływem krwi, blady z sinymi podkowami pod oczami objął mnie za szyję, przytulił i odrepetował pistolet. Czekaliśmy. Między rzadkimi kłosami widzieliśmy poruszające się niemieckie buty. I oto stała się rzecz niepojętna, kule ułożone w rząd na ziemi stały się obronnym murem. Niemcy stojąc w odległości 3-4 metrów nie zauważyli nas. A może to były święte kule?. Nieraz nad tym zastanawiałam się.

Źle spaliśmy tej nocy z trzeciego na czwarty lipca. Nad puszcza krążyły samoloty, gdzieś z oddali dochodziły odgłosy detonacji.

Rano, kobieta objuczona tobozami z dwojgiem małych zapłakanych dzieci prosiła gospodynię wiejskiej chaty o przytułek :

- W stodole, na sianie, dużo nam nie trzeba. Nasz dom zawalił się, nie mamy domu - płakała zawodząc głośno - Ruscy bombardują, nie ma dworca, nie ma ulic, co teraz będzie. Co będzie.-

Naloty radzieckich samolotów powtarzały się. Wilno stanęło w ogniu i w dymie. Ale to nie osłabiło naszego przekonania, że lada dzień wybuchnie powstanie. Kto jeszcze nie był w partyzantce, szukał

z nią kontaktu, zdobywał broń.

Nieszczęśliwie, konno, podwodami a nawet zorganizowanym transportem ciągnęły ze wszystkich stron świata w kierunku Wilna partyzanckie oddziały Armii Krajowej.

Siądmego lipca przez opary rannej mgły wyłoniło się Wilno. Można było rozróżnić Górę Zamkową, białe Trzy Krzyże, wieże kościołów i cerkwi. Wtedy na niebie zobaczyliśmy świetlistą rakietę. Marzenie walki o Wilno stało się faktem. Rozpoczęła się operacja "Ostra Brama", ruszyło partyzanckie natarcie.

"Świat zamienił się w piekło", wspomina w swoich pamiętnikach natarcia na Wilno partyzant Zygmunt Kłosiński - "pole, krzaki, drzewa wirowały w powietrzu, które stało się gęste i piekące. Wyły motory, grzechotały kaemy, pociski wyrzywały kłęby ziemi, kule jak "kaczki" puszczane na wodę skakały koło nóg".

"Głodni, brudni, ogłuszeni parliśmy do przodu po drżącej ziemi pod ostrzałem samolotów, zdziwieni że jeszcze żyjemy".

W tym czasie siostra "Jedyna" Teresa Kujawa ciągnęła na przeszcieradle przez las ranne partyzanta do szpitala. Lipcowy upał wysał z niego ostatnią kroplę życia. "Jedyna" płakała, na jej drobnych ramionach pozostały granatowe pręgi od ciężaru ponad dziewczęce siły.

Sanitariuszce "Sławie" niemiecki pocisk przeorał pochylone nad rannym plecy. Upadła na niedokończony opatrunek.

"Dzika" Anna Pawłowska i Jola Jankowska przenosiły z punktu przy ulicy Kalwaryjskiej na Zwierzyniec, gdzie również szalał ogień partyzanckiego natarcia, karabiny owinięte w kołdrę stanowiącą niby pomoc dla pogorzalców. Kiedy były na Zielonym Moście zauważyły, że lufa karabinu przebiła kołdrę i wyszła na zewnątrz. Ich przerażone oczy ujrzwały zbliżających Niemców. Potem Anka opowiadała mi :

- W pierwszej chwili chciałam skoczyć z mostu do Wilii, ale broń zamoczyłaaby się, szkoda. Przestraszona wpatrzyłam się w rzekę,